

Nr. 16. Poznań, dnia 19 Kwietnia 1879. Rok II.

KOSZYK MARYNI.

Obrazek sceniczny w jednéj odsłonie.

Napisał

TADEUSZ ZAREMBA.

OSOBY:

Karol — młody malarz

Rzecz dzieje się w mieszkaniu Karola.

Teatr przedstawia salonik Karola w głębi — drzwi wchodowe, po lewéj stronie drzwi do jego pokojów, a po prawéj — okno. Na przodzie sceny po prawéj stronie stoi sztaluga, na niéj przygotowane płótno, a przy niéj krzesło i mały stolik z przyborami malarskiemi. Po lewéj stronie sceny — fortepian przy nim kanapka, fotel i stół dywanem nakryty, na nim książki i albumy. Po lewéj stronie drzwi wchodowych stoi stół, na nim widać damski koszyk do roboty z wierzchnią częścią z miękkiéj materyi ściągającą się jak worek, lub sakwa. — W wolnych miejscach pod ścianami stoją rozmaite meble, a na ścianach wiszą obrazy, naszkicowane płótna, gipsy etc...

Karol (*wchodzi w głębi, rzuca płaszcz na stół przy drzwiach na koszyk, którego nie widzi*).

Druga!... za chwilę Henryk nadejść powinien... Chciałbym go już widzieć, a boję się zarazem obiecanéj wizyty.. Jaką mi przyniesie wiadomość?.. Co za chwila okropna... Uniknąć jéj jednak nie mogłem. Wolałem moje sprawy przyjacielowi powierzyć, aniżeli sam iść po swój wyrok... (*patrzy na zegarek*) pięć na trzecią... nie ma Henryka.. O! czemuż się tak spóźnia.. musi wiedzieć jakie cierpię męczarnie. Gorsza jest niepewność od najsmutniejszéj rzeczywistości... Nie.. nie.. Jeszcze go nie ma.. mogę się łudzić, mogę snuć plany przyszłości... za chwilę może już nastąpi straszna chwila rozczarowania, za chwilę może już cienia nadziei dla mnie nie będzie... O! wolę niepewność... jeszcze śnić, jeszcze marzyć mogę przynajmniéj o szczęściu, bo mi szepce nadzieja że ona będzie moją... a jak Henryk przyjdzie z wyrokiem... o! lepiéj o tem nie myśleć.. (*przechadza się po pokoju*) możem źle zrobił, żem tę sprawę Henrykowi powierzył... On nie potrafi dobrać właściwych wyrazów, będzie mówił zimno, obojętnie... O! jakżebym ja przemówił gorąco klęcząc u nóg czarującego dziewczęcia. Powiedziałbym, że ją kocham, że na nią przez wieki chcę patrzeć, że bez niéj mi życie niemiłe... Ha! Henryk pewnie to samo jéj mówi odemnie, ale jaka wielka różnica... Jabym spojrzał tylko na nią a w moich oczach by wyczytała cały poemat miłośny, cały szereg przysiąg i wyznań.. I on na nią patrzy w téj chwili, ale oczy jego nic nie mówią... Czyż mogą cośkolwiek wyrażać te duże, jasno błękitne, pół ślepe oczy?... (*po chwili*). Biedny Henryk... on tak ochoczo podjął się dopomożenia mi w moich kłopotach, a ja jego wyśmiewam... To źle, to brzydko, to szkaradnie... Henryk dobry, szlachetny, dla mnie teraz pracuje, a choć może w jego argumentach i spojrzeniach nie ma tego ognia, którym bym gorzał na jego miejscu, potrafi Marynia ocenić to ciepło przyjaźni, z jaką w mojem imieniu przemawia. Ha! może też przyjaźń więcéj dokaże niż miłość. Czybym potrafił tak mówić jak myślę, stanąwszy przed nią i jéj rodzicami?... Słów by mi zabrakło, straciłbym głowę... Dobrze się stało, żem się zdał na Henryka.. (*patrzy na zegarek*) Spóźnia się.. musiał trafić na jakieś przeszkody... Zawszem przeczuwał, że strony rodziców będą trudności... nieznośna rzecz ci rodzice!... żadnych względów nie mają na nieszczęśliwe serca.. (*patrzy na zegarek*) Siedzi tam już od dwóch godzin... co to być może?... Ha! Rodzice! Zawsze rodzice!... Parlamentuje z nimi.. Więc nie wszystko straone... Oni słabną, miękną, Marynia... (*z uśmiechem, rozrzewniony*) Marynia.. Drogie dziecko!... Jakiś głos wewnętrzny mi powiada, że w niéj będę miał sprzymierzeńca.. (*przechadza się zamyślony, potem nagle siada przy sztaludze, bierze pędzle, paletę i mówi*) Tak... Tu, na to płótno będę się starał przenieść obraz, który mi nie ustępuje z myśli i serca... (*zaczyna pędzlem szkicować*) Śliczne, cudowne dziewczę! Czy to nie będzie przestępstwem, zuchwalstwem ta moja

praca?.. Czy mam prawo na nią się ważyć?... Ale nie.. muszę, muszę probować.. miłość zrobi ze mnie geniusza... Tak oto jéj rysy.. trochę surowe, trochę ostre... Nigdy jéj zagniewanéj nie widziałem... Ha! Palce mnie słuchać nie chcą... Tymczasem niechże takim ten szkic zostanie, twarz łatwo się da odmienić... Jakąż jéj teraz nadam postawę?.. Odmaluję ją taką, jak ją po raz pierwszy widziałem... To było w górach... Zmęczony daleką wycieczką odpoczywałem na miękkim mchu w cieniu olbrzymich świerków... Byłem wesół wtedy, serce miałem wolne, śpiewałem jakąś wesołą piosneczkę błądząc oczami po niebie, którego kawałek mogłem dojrzeć w fantastycznéj ramie z gałęzi i zieloności... Wiele tam pięknych rzeczy widziałem. Po niebie czystem, jak spokojna morza powierzchnia, przesuwały lekkie, drobne chmurki i wyglądały jakby rozpięte żagle od niedostrzeżonych okrętów i łodzi. Ten kawał nieba to było lustro, w którem na życie patrzałem. Same tylko wesołe dojrzeć mogłem obrazy. Białe żagle migały kapryśnie, a morze zostawało jasne i spokojne. Ha! Serce wtedy miałem swobodne. Śpiewałem, a ptaszki odpowiadały mi w gęstwinach, albo z nich wylatując wzbijały się wysoko i bawiąc się, trzepiąc w powietrzu na mnie z mojego lustra patrzały zdając się cieszyć, żem był jak one wesołym...

Nagle się wystrzał rozległ po lesie, wystrzał który powtórzyły najdalsze gór echa... Moje ptaszki poczęły trwożliwie pierzchać i latać na wszystkie strony szukając schronienia.. Po chwili spojrzałem w zwierciadło — na dnie jego była ogromna, ciemna, straszna chmura... Od tej chwili rozpoczęły się moje cierpienia, męczarnie, ale i słodkie nadzieje... powstawszy ujrzałem śliczne, uśmiechnięte dziewczę... Trzymała koszyk w ręku i nachylona nad bujnie rosnącą trawą szukała w niéj czerwonych jagódek, które zrywając do koszyka kładła.. to była Marynia, to była ta, z któréj przyczyny już nie zaznałem od téj pory spokoju, ta którą kocham, która ze mnie zrobić może najszczęśliwszego z śmiertelnych... (*patrzy na zegarek*) Ten Henryk!... Nie ma go jeszcze... (*po chwili*) Niedaleko od niéj stał jéj ojciec i strzelbę nabijał. „Czy zabił co papa?“ — zapytała. — „Nic moje dziecko.“ — „O! Jakże się z tego cieszę,“ — wykrzyknęło dziewczę. „Co papie te biedne ptaszki złego zrobiły?“...

O! Serce ma złote!. — Nie chce krzywdy niczyjéj, a jednak.. dziś może wyrok méj śmierci wyrzecze...

W kilka dni potem znałem ją, znałem jéj rodziców — Mogłem kłaniać się jéj na ulicy, mogłem bywać w jéj domu. Jakie straszne przeniosłem męczarnie, gdym się odważył na pierwszą wizytę — Wszyscy byli dla mnie bardzo uprzejmi a ona... jak gdyby mnie znała oddawna, wesoła, serdeczna, naturalna... Czy odgadła moje męczarnie i chciała je ułagodzić?... Czy chciała mnie może zupełnie wyleczyć, uszczęśliwiając mnie wzajemną miłością?... Któż to odgadnąć potrafi... mówią, że zakochanego od razu poznać można... Ja o tem wątpię, znam ją od dawna, widuję ją często, a dziś tak znam jéj uczucia jak je po pierwszém dla mnie znałem spotkaniu.

Nieustannie mnie dręczy myśl, że to co brałem za miłość, było tylko czczą grzecznością, przyjaźnią może... Jaką była dla mnie, taką się względem innych mogła okazywać...

Ten Henryk doprawdy okrutny.. Gdyby mógł wiedzieć jak cierpię na tem zwlekaniu... (*maluje*)

Raz, na balu, w tańcu suknię jéj rozdarłem.. Przerażony moim postępkiem, drżałem, będąc przekonany, że już na mnie patrzeć nie zechce... Jakże się myliłem! — Spojrzałem na nią ukradkiem... Śmiała się, powiedziała mi, że to bardzo zabawny wypadek, że się wcale na mnie nie gniewa i że nigdy jéj ten mazur nie wyjdzie z pamięci... Co przez to chciała rozumieć?... Czy ze mnie żartowała tylko, czyli też poważnie mówiła?... Nie! Gniewać się na mnie nie mogła. Ona gniewać się nawet nie umie. (*maluje*)

Czemuż jéj twarzy taki wyraz surowości nadałem?... To już nie ona, bo taką być nie może. (*poprawia malowidło*)

Tak... tak będzie lepiéj... Teraz jest prawie podobną do téj Maryni, którą w lesie widziałem, do dobréj Maryni, cieszącéj się z tego, że ojciec ptaszka nie zabił...

Ta ręka trzymająca koszyk trochę nienaturalnie wygląda... Nadto jest naprzód wysunięta... Wygląda, jak gdyby mnie koszyk dawała... (*nagle*) Mnie!... (*z przestrachem*) trzeba tę rękę zamazać. (*poczyna gwałtownie pędzlem po płótnie pocierać*) Co za myśl okropna!... Ten koszyk!... Są chwile, w których nie mogę od siebie różnych przesądów odpędzić...

Śpiewałem, kiedym ją po raz pierwszy ujrzał!... I teraz śpiewam, ale jakże nuta mej pieśni inna, zmieniona... (*poczyna malować i nucić jakąś smutną piosneczkę*) Ha! Już wesoło śpiewać nie umiem. Ten ciągły niepokój, ten chaos w uczuciach... (*nagle wstaje od sztalugi*)

Dłużéj tu nie wytrzymam!... Pójdę do Henryka... może go zastanę, a wtedy mi powie czy mam żyć czy umierać. (*idzie ku drzwiom w głębi, bierze płaszcz i spostrzega koszyk*) Ha!... Co to znaczy!... to koszyk! To jéj koszyk... poznaję go!... moje przeczucie... (*bierze koszyk do ręki*) Jakaś karteczka... ręką Henryka pisana... Więc był tu, nie zastał mnie... Co pisze?... (*poczyna czytać:*)

„Biedny Karolu“... (*z rozpaczą*) Biedny Karolu“... W tych słowach mój wyrok! więcéj nie potrzebuję wiedzieć... Ale nie! niech mam pewność że ona mnie kocha, że rodzice tylko okazali się okrutnymi.. W takim razie rozpaczać jeszcze nie wolno... Upór rodziców we dwoje zwalczymy (*czyta*) „Biedny Karolu! Odwagi!... Nie powiodło mi się poselstwo. Rodzice“... Ach! Ci rodzice!... Ten wieczny kamień na drodze!... (*czyta*) „Rodzice panny Maryi łaskawie wysłuchali mojéj prożby do końca“... (*gorzko*) O! wiem co to znaczy, ta łaskawość, ta grzeczność... to trucizna podana w złotym, kamieniami wysadzonym puharze.. Od razu łaskawie słuchali!... Wolę opór, twardy opór z początku, ale opór, który się da zwalczyć w końcu.. (*czyta*) „Powiedzieli mi jednak że gdy nie chcą w niczem woli córki krępować, do niéj mam zwrócić się z prośbą“... O! Znam te wybiegi, tę wspaniałomyślność rodziców... Często nie wie nawet dziewczyna, kiedy i jak dała komu odprawę. (*czyta*) „Wkrótce przez rodziców uprzedzona panna Marya weszła do pokoju. W ręku koszyk do roboty trzymała. Wiem o wszystkiem, rzekła wesoło. Oto jest moja odpowiedź, zanieś ją pan Karolowi, to mówiąc podała mi koszyk!“... (*z rozpaczą*) Ona!... ona to uczyniła!... Spokojnie, wesoło... O! Ona nie ma serca!...(*rzuca z gniewem koszyk na ziemię*) Ona się śmieje, kiedy ja płaczę, ona spokojnie z uśmiechem myślała o tem w jaki sposób zada ranę śmiertelną... Ten koszyk!... (*depce koszyk nogami*) O miałem słuszność, żem wierzył w przeczucia!... Ona śmieje się ze mnie!... (*pod-

chodzi do sztalugi) Nie! Ja tego potretu tak zostawić nie mogę! Ten uśmiech zmienić trzeba w śmiech Satyra... ten koszyk — to dla mnie... to dla mnie ten koszyk!... Ta ręka umyślnie do mnie wyciągniętą była... O Maryo! Maryo! Ja oszaleję!... Litujesz się nad śmiercią ptaszyny, a zimno myśleć mogłaś o moich męczarniach... Gdybyś przynajmniéj była wzruszoną, gdybyś choć w cząstce serca zostawiła trochę dla mnie litości...

Ale nie! Ty nie wiesz nawet co to serce, ty go nie masz, ty go nigdy nie miałaś! nawet wystawić sobie nie możesz, że ktoś cierpi, że ktoś się męczy, że może oszaleje z rozpaczy... O! płocha dziewczyno... *(z wściekłością)* Ja ciebie nienawidzę... *(rzuca się na kanapę i twarz zasłania rękami. Po długiéj pauzie podnosi się i mówi słabym głosem)*... powstawszy ujrzałem śliczne uśmiechnięte dziewczę... trzymała koszyk w ręku i nachylona nad bujnie rosnącą trawą, szukała w niéj czerwonych jagódek, które zrywając do koszyka kładła... To był sen tylko... Dziś już na nią patrzeć nie mogę... Przed chwilą jeszcze jaśniały mi przed oczyma cudowne barwy nadziei... Teraz wszystko skończone!... Tak. To był sen tylko, który minął, gdym oczy otworzył, z którego się tak prędko, tak wcześnie zbudziłem... *(po pauzie)* Niedaleko od niéj stał jéj ojciec i broń nabijał. Spytała go czy co zabił, a gdy powiedział że nic nie zabił, poczęła się śmiać radośnie i w dłonie klaskać i cieszyć się z tego. O mała ptaszyno!... tyś była szczęśliwszą odemnie nie znając ciebie, nie widząc litowała się nad tobą... O! Czyż w tem sercu nie znajdzie się dla mnie litości?...

Długo, długo na nią patrzałem nie mogąc od niéj oczu oderwać. Jéj twarz dobrocią tchnąca, jéj włosy trochę w nieładzie, spadające na szyję śnieżnéj białości na wolno kołyszące się piersi jak się czasem kołyszą wody cichego jeziora; jéj strój, każdy jego nawet szczegół, wszystko w cudną zlewało się harmonię... Czyż mogłem od niéj oczy oderwać?...

Odeszła...

Kiedym ją poznał, kiedy się do mnie uśmiechnęła, kiedym jéj głos posłyszał... „to anioł dobroci!“ — myślałem. To dobra wróżka, któréj jedyną rozkoszą jest siać radość dokoła... I hardy, ważyłem się pieścić myślą, że kiedyś może pod moją strzechę wprowadzę tego anioła.

Otworzyłem oczy i ciemno przedemną... Już nie błyszczy ta gwiazda, która dotąd kierowała mojemi krokami. Marzenia, sny złote, nadzieje... wszystko mnie daleko odbiegło.

Nimem ją znał, byłem wesół jak ptaszę. Jak ptaszę śpiewałem o nic się nie troszcząc, życie moje było pogodne bez chmur...

I dziś już jéj nie znam, już na nią patrzeć, już jéj słyszeć nie mogę... Czemuż bym nie zaśpiewał wesoło jak ptaszek?...

Serce mi rozdarła... Czy mi wróci teraz skradziony spokój i szczęście...

Gdybym mógł o niéj nie myśleć, zapomnieć!... Oto jedyne żądanie szaleńca, domagającego się księżyca albo gwiazdki z nieba.

O nie! Nie chcę jéj zapomnieć, nie chcę być szalonym... Jéj obraz wyryty w mem sercu do śmierci się w niem nie zatrze... Ostre dłuto go rzeźbiło... Chcę myśleć o niéj, tylko o niéj... Zostają mi wspomnienia kilku chwil, w których mogłem marzyć o szczęściu... w których mi się zdawało, że dla mnie żywiéj, zgodnie z mojem bije jéj serce...

Wolę te rozkoszne wspomnienia niż spokój i wesołość, które mi ona zabrała... Już śpiewać nie będę jak ptaszę, które nie myśli, nie czuje, nie kocha, ale pieśń moja będzie pieśnią człowieka, który cierpi, bo kochał i kocha, który się zawiódł okrutnie, ale któremu zostały wspomnienia kilku chwil błogo prześnionych. Pieśń moja będzie smutna, rzewna, ale w niéj nawet czasem zadźwięczy jakaś nuta weselsza... *(zamyśla się nagle, z uśmiechem)*

Widzę ją, patrzy na mnie... Jéj oczy śmieją się wesoło, a na ustach maluje się dobroć, życzliwość... Widocznie chce mówić... roztwiera usta... *(z goryczą)* Tak .. mówi... „Wiem o wszystkiem... oto moja odpowiedź!...“ I śmieje się... jeszcze ciągle się śmieje... *(po chwili)*

Nie myślmy o niéj... *(przechadza się po pokoju.)* Trzeba o niéj zapomnieć... *(siada przy fortepianie i grać poczyna. Nagle po kilku taktach zatrzymuje się.)* Ten walec... Ona go grała tego wieczora, kiedym jéj bukiet ofiarował. Jakże była wesołą — zdawało mi się że się tak z moich kwiatków cieszyła... Stałem przy fortepianie i przewracałem kartki... Nikt nas nie mógł podsłuchać... „Ślicznie panu raz jeszcze za kwiaty dziękuję“ — rzekła z czarującym uśmiechem. Spojrzałem za siebie... nikt o nas nawet nie myślał. Nachyliłem się i szepnąłem: „w tych kwiatach starałem się opowiedzieć stan méj duszy.“ — Ze zdziwieniem na mnie spojrzała: „Czyż kwiaty mogą mówić?“ — rzekła patrząc mi w oczy. „O! kwiaty mają mowę piękniejszą, bogatszą od ludzkiéj“ — odparłem — „są pewne uczucia, tak wzniosłe, tak święte, których nie można słowami ubierać bo tracą na barwie... na to mamy kwiaty...“ Nic nie odrzekła, główkę spuściła i poczęła jednym palcem jakąś wesołą piosneczkę na klawiszach wygrywać. Czy ta nuta tak skoczna miała śmiech wyrażać?... Zmieszany, oddaliłem się od niéj... Spojrzała na mnie ukradkiem, ale słowa nie rzekła...

O! złote wspomnienia!... Bez was życie by mi było ciężarem! *(przechadza się po pokoju)*

Doznałem i ja chwil rozkoszy, chwil szczęścia, a myśl o nich resztę dni moich choć trochę osłodzi... Z niemi nie będę samotnym, będę miał z kim rozmawiać, z kim płakać... O! Czemuż już mi śnić więcéj nie wolno?... Czyż już żadne marzenia, żadne nawet złudzenie dla mnie niedostępne?...

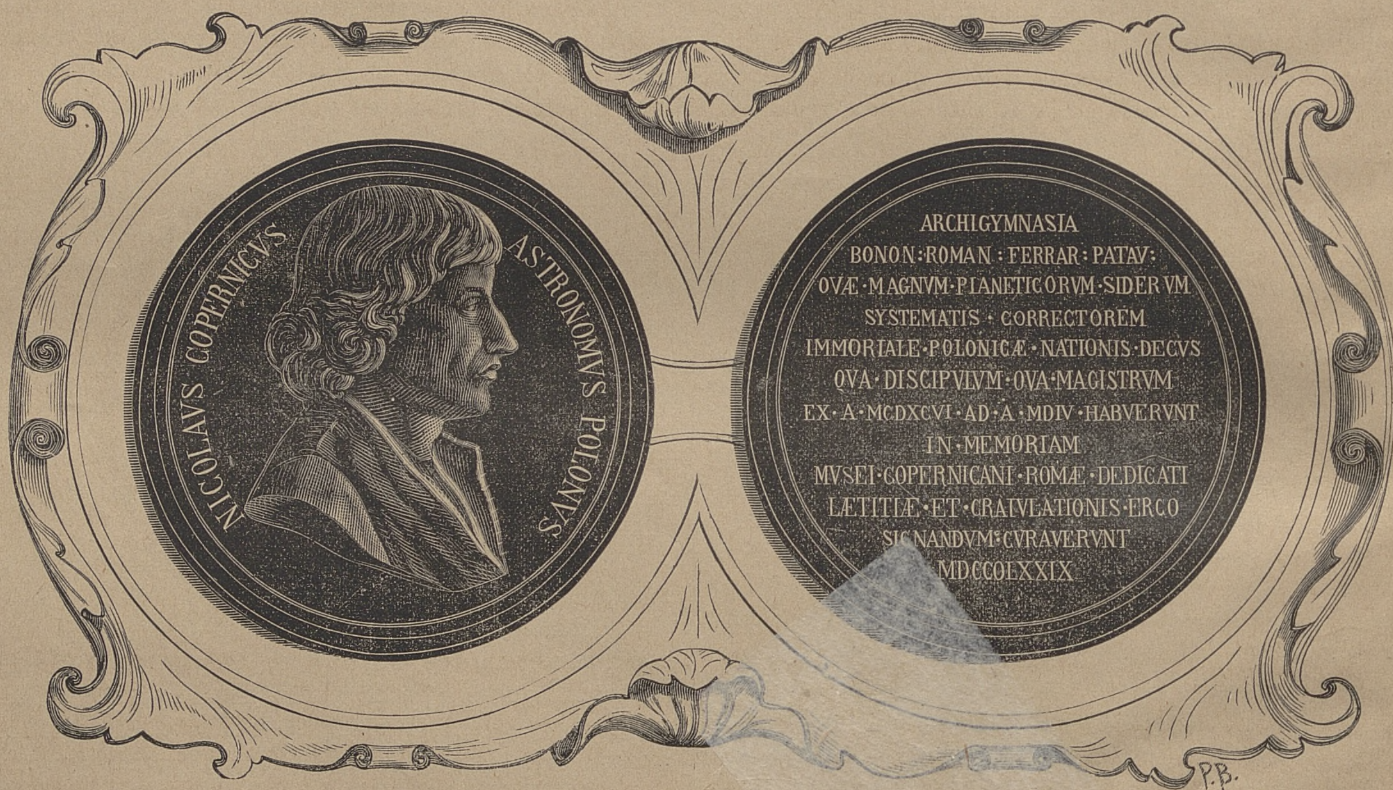
Nie! Nie!... Widzę ją, ale już jéj nigdy moją nie nazwę... Widzę ją, ale nieprzebyta dzieli mnie od niéj granica — jéj serce, które mnie nie kocha...

Wkrótce może ta wróżka, ten anioł, oparty na ramieniu innego, uśmiechnięty, rozpromieniony, szczęśliwy, nie będzie nawet pamiętał o tym, który go kochał jak nikt dotąd kochać nie umiał, o tym który cierpi i jak stuletni starzec pomiędzy dziećmi wspomnieniami tylko żyć może... Wkrótce będę dla niéj zupełnie obcym!... Tak obcym będę ja com w marzeniach tkał barwną przyszłość, w któréj przy sobie zawsze ją widziałem... Ja będę dla niéj obcym!... Zupełnie obcym!... Dla kogo innego te śmiechy, ten głos tak dźwięczny, to serce, o których przez tyle czasu śniłem... Dla mnie nic!... nic!... tylko wspomnienia... Ona dla mnie już trupem, a ja trupem dla ludzi...

Kiedyś mi album podała, prosząc abym w nim coś narysował... Schwyciwszy ołówek w kilku pociągnięciach naszkicowałem pączek róży... To był jéj portret... Podałem jéj mój rysunek... „tylko tyle?“ zapytała zdziwiona... „Je-

den tylko pączek?“ „Innych kwiatów nie będzie?“ „Przy pączku róży żaden kwiat się pojawić nie może“... odparłem „Dla czego?“ — zapytala. „Bo nie śmie, bo by był zuchwałym...“ Czy mnie wtedy zrozumiała Marynia?... Uśmiechnęła się, zlekka się zarumieniwszy. Po pewnem wahaniu powiedziała nieśmiało patrząc mi w oczy: „Narysuj pan jeszcze jaki kwiatek... proszę o to... niech pączek nie będzie tak osamotniony — bo mu bardzo smutno“... Ha! Czyż nie warto jest całe życie przecierpieć dla tego jednego wspomnienia, dla tego błogiego uczucia szczęścia, nadziei, które się w mojem sercu wtedy zrodziło?... O! w chwilach podobnych mogłem prawie przysiądz, że mnie kochała Marynia. (*z rozrzewnieniem*) „niechże nie będzie tak osamotniony, bo mu bardzo smutno...“

Dzisiaj widzę, że to były słowa bez głębszego znaczenia... Ha! Precz wspomnienia!.. Na co mi one?.. Każda z nich mi się w innem dziś świetle przedstawia. — Co bramyśla, że dziś bym nawet tego koszyka za żadne pieniądze nie oddał.. Przypomina mi to, że się okazała okrutną, ale zarazem mi przywodzi na myśl lepsze, dawniejsze czasy... Wieleż to razy zasiadłszy w oknie dobywała z niego robótki, a ja na nią wtedy patrzałem i gdy się tylko uśmiechnęła, już byłem w niebie... Wieleż to razy za nią ten koszyk nosiłem.. kiedyś do niego jakiś wierszyk wsunąłem... Bardzo się z początku gniewała, a w końcu przebaczyła... Co dzień, co chwilę dotykały go jéj drobne, różowe paluszki... Jabym miał ten koszyk od siebie odrzucić?... O nie! nigdy!... On mi więcéj o niej mówi aniżeli każda rzecz inna... Ja się z nim nigdy, nigdy nie rostanę... (*caluje koszyk, pieści się z nim*) niedawno siedziałem przy niej w altanie... Jakiś wróbel ciekawy, kołysząc się na gałązce bzu ciągle się nam przypatrywał, bo nieustannie świergotał jakby nas chciał przedrzeźniać. Marynia, która go nie spuszczała z oczu... (*nagle się zatrzymuje, żywo poczyna miąć w palcach koszyk*)



Medal wybity we Florencyi na cześć Kopernika.

łem za wieloznaczące słowa było niczem... wtedy się tem cieszyłem, dziś już prawa nie mam do tego. To był sen tylko, sen piękny, uroczy, ale się już zbudziłem, już patrzeć umiem, już widzę dokładnie... Opadły złote piórka, złudzenia, zniknęły bez śladu. Dziś naga prawda przy mnie stoi, a przedemną ciemności....

Gdyby mnie rzeczywiście kiedyś kochała, miałbym choć jeden jéj uczuć zadatek... jakąś wstążką, pęk zwiędłych listków.. nic! niczem mnie nigdy uszczęśliwić nie chciała... Żadnej po niéj pamiątki, nic co by mnie mogło przypomnieć, że dla niej obojętnym nie byłem...

(*gorzko*) Ach! prawda!,. Mam po niéj pamiątkę... ten koszyk!,.. Umyślnie go dla mnie Henrykowi oddała...

„Oto moja odpowiedź“ (*podnosi koszyk*) Oto odpowiedź Maryni, oto jéj podarek, oto jedyna pamiątka, która mi po niéj zostaje — ... (*śmieje się z goryczą*)... Ach! Może nie wie, że i to ma wielką dla mnie wartość... może się nie do- Coś tutaj szeleści... jakiś papier... czuję pod palcami... (*otwiera koszyk*) Nie.. nie ma nic. (*szuka palcami*) .. Znowu ten papier szeleści.. Co to być może... Jest tu, tu, (*zagląda do koszyka*) zaszyte w podszewce... O! Jakże mi serce bije... to może dla mnie papier... (*po chwili*)

Opamiętaj się Karolu... Znowu chcesz marzyć, by się znowu budzić?... Po co by ona do mnie pisała?... Czyż by chciała listem jeszcze potwierdzać swoje okrutne słowa?... (*po chwili*) Jednak trzeba zobaczyć... (*rozdziera podszewkę i dobywa z niéj kawał papieru*) Jakiś list.. (*patrzy na adres*) do mnie!.. do mnie!.. Nie poprzestaje na słowach, chce mnie listem dobić!... (*kładzie list i koszyk na stole*) Będę mężnym... Tego listu czytać nie będę... Spalę go... Tak... spalę go.. ale go pierwej przeczytam. (*poczyna czytać a w miarę słów, na twarzy jego malują się wzruszenia przez jakie przechodzi*)

„Twój poseł jest zdrajcą. On także mnie kocha. Wymówił się wtedy gdy mówił o tobie. Rodzice Maryni nie chcieli krępować... Marynia posłowi już ufać nie mogła, więc koszyk mu dała... on wziął go z radością, nie wiedząc, że niesie ćwiarteczkę papieru... Nie chcieli rodzice krępować Maryni, więc ona swą wolę przesyła w tym liście: Przybywaj pan do nas, czekamy z herbatą!“ O!.. szczęścia za wiele!... Ja oszaleję... Henryk był zdrajcą, on ją także kochał!... O! Ja oszaleję... oszaleję... *(poczyna biegać po scenie i list całować)* Biedne dziecko!... Mówiłem, że nie ma serca, że kochać nie umie... O! Jakże byłem nikczemny!... Lecę na herbatę!... *(naklada płaszcz i kapelusz)* Ach! — *(patrzy na zegarek)* herbata o siódméj — teraz czwarta dopiero.... Nie! Jeszcze iść nie można... Parę godzin w domu trzeba przesiedzieć... To cała wieczność.. *(patrzy na list)* Drogi kochany liścik. Hę!.. Tu jeszcze jest jakiś dopisek. *(czyta)*

„A koszyk pan odnieś!..“ *(śmieje się)* O! Teraz to najchętniéj uczynię!... Na co' mi koszyk, kiedy ona jest moją... Moją!... Spełniły się marzenia... Marynia jest moją!... *(siada do fortepianu i poczyna grać i śpiewać bardzo wesoło. Po pewnym czasie, nagle muzykę urywa, zrywa się z krzesła i uderza się w czoło)* Jakiż ja głupi! *(żywo z kieszeni dobywa zegarka, otwiera wszystkie jego koperty i poczyna kluczykiem obracać igliczki — po chwili z udanem zdziwieniem)* Siódma godzina!... Lecę na herbatę. *(wybiega w głębi).*

Zasłona spada.

Kraków, dnia 8 Grudnia 1878.

ODEZWA
T. Lenartowicza
do artystów polskich.

Oto są główne ustępy tej patrjotycznej odezwy w sprawie Muzeum Narodowego przed kilku laty wydanej:

Kiedy w ojczyznie naszej wieśniakowi nie starczy siły, aby obok innych ciężkości zdążył zebrać zboże z zagona swego, idzie prosić sąsiadów, aby mu dopomogli i oto ludzie, którzy cały dzień pracowali bez żadnej nagrody i z samej tylko dobrej woli wychodzą na pomoc, ten z sierpem, owy z kosą i w krótkim czasie już ci zboże na garściach, już w snopkach i w mędlach, podobnie się ma z założycielem Muzeum w Rapperswylu, z tą tylko różnicą: że co on zbiera i w czem mu bracia dopomogą, nie dla siebie zbiera, ale na wspólny polskiéj gromady pożytek. — Samemu trudno podołać, aleć przy dobrej woli współobywateli, postawi się rzecz godna i nie powstydzi się Polska swojego zakładu. — Mury poprawią młodzi polscy architekci, jeśli w czem uszkodzone, malarze wędrowni polscy zatrzymają się na tej górze i widokami wyniesionemi w duszy swojej z ojczyzny okryją ściany zamczyska. — Rzeźbiarze przyniosą tu prace swoje, poeci przyślą pisma wydane czy nie wydane, książki, pamiątki, a nie dla tego, żeby to było na pochwalenie się, bo licha to rzecz i małej wagi, ale na dowód, że wszystkim nam błogo przyozdobiać domostwo swoje.

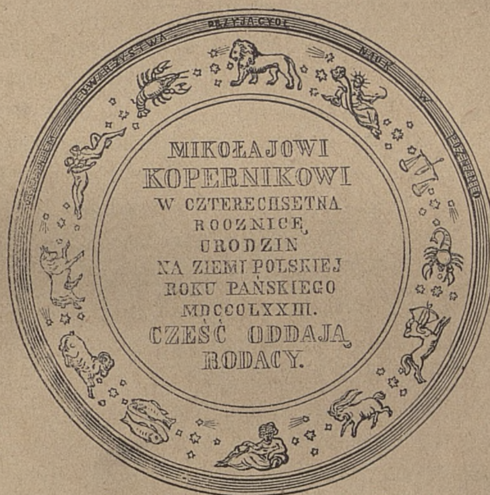
...Nie wymawiajmy się od przyozdabiania tej arki, którą Izraelici pięknemi rzeźby aniołów pokryli, z powodu, że to nie jest w kraju, że tego nikt widzieć nie będzie, że ojczyzna nasza nie w Szwajcaryi, ale nad Wisłą, Niemnem i Dnieprem, bo ojczyzna wszędzie się znajduje, gdzie się znajdują wierni jej synowie. Na okrętach pod Salaminą była ona dla greckiego bohatera, a to co powiedział Chrystus o kościele swoim i do ojczyzny, jak każde słowo ewangieliji do wszelkiéj rzeczy zacnej, może być przystósowanem: gdziekolwiek się zbierzecie w imię moje, będę z wami; a więc nie tylko na Syonie i w obrębie murów Jerozlimskich, — ale wszędzie gdziekolwiek pracujemy dla ojczyzny, jest ona z nami, a czyliż nie dla jej dzieci postawiliśmy przybytek poświęcony narodowym wspomnieniom?

Artyści polscy, nie wymawiajcie się ubóstwem waszem od współudziału w ozdobieniu tego przybytku; jesteśmy ubodzy, ale wiemy, iż na ubóstwie budowa społeczna spoczywa; nie książęta podpierają chrześcijaństwo, ale ubodzy umartwieni i ledwo że przyodziani ludzie, tacy Bernadowie, Franciszkowie, Wincentowie Ferariusze i drudzy, prawe kolumny kościoła. Zakonnik, rolnik, żołnierz, artysta, rzemieślnik, oto pięć stanów ubogich, niby pięć palców u ręki ludzkiej — biedne pięć palców, przez które ręka bozka działa.

...Jako do dobrych chrześcian, boć większość wasza jest taką, mówiąc, prostych używam słów — bracia, na których dziś spoczywa utrzymanie ducha narodowego, nie odmawiajcie współudziału w rzeczy godnej i nie oglądajcie się za nagrodą, bo za dobre uczynki nie ludzie płacą.

Gdyby ten zamek należał do Czartoryskich, albo któregokolwiek z przywodzców politycznych, moglibyście ważyć i





Medal wybity na cześć Kopernika przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu 1873 r.

radzić, czy się z tym łączyć albo nie, czy temu wierzyć albo nie wierzyć, aleć ten dom na górach szwajcarskich do miasta Rapperswylu należy — albo raczej do was wszystkich, tak, że kiedy ojczyzna zostanie odbudowaną, możecie jak aniołowie domek Loretański przenieść nad morze baltyckie, a przynajmniej pamiątki, które w nim złożycie.

Pospieszcie więc z pomocą pszczoły polskie, a niosąc robotę waszą, zakręćcie się około ula waszego.

Nigdzie i po żadnym kraju więcej nie przeciąga podróżników; młodzież z Francji, Angli, Niemiec rok rocznie zwiedza Szwajcarję, więc i dla poznania was (chociażby i to przypuścić) czyliż takie Muzeum nie jest jakby wystawą nieustającą — nie targowiskiem, nie szyldem, ale domem uczciwych ludzi ze sobą zapoznaje.

Artyści polscy rozumiejąc warunki sztuki ojczystej, podnoszą i uświęcają w dziełach swoich, już to życie domowe, rolnicze, już też religię — i najpiękniejsze chwile w historji, w żywych obrazach, stawiają oni przed oczy to, co miał naród i ma dotąd najpiękniejszego, a przedmioty prac ich i wykonania wzbudzają podziwienie obcych ,.. a jeżliż tak pojmują w dziełach swoich obowiązek ojczysty, tedy pojmią, nie wątpimy, że czynem patrjotycznym największym jest wzajemny dobrych obywateli pomiędzy sobą związek — towarzystwo, społeczność jedna, jeden szereg bratni, i pojmią także, iż największym dowodem tego poświęcenia jest czynne postawienie się za pomocą ofiary, jakiej od nich w imieniu ojczyzny wymagamy, i nie powstrzyma ich małoduszna uwaga: „nie dam, bo mięszać się nie chcę z miernemi robotami moich współbraci;" kto najwyższy, tenci by powinien być najchętniejszym do ofiary, — a wielkość nie traci nigdy na porównaniu z mniejszością.

Zwiedzającemu obce kraje ileż to razy przychodzi zadziwiać się nad owemi budowlami na szczytach gór niedostępnych wystawionemi na chwałę Bożą: — ten klasztor wystawił ubogi mnich od domu do domu za jałmużną chodzący, ów żołnierz, który za miłosierdziem Bożem szczęśliwie z dalekiej powrócił wyprawy, — tak miłość Boża była zdolną zwyciężenia największych trudności i postawienia tych przybytków — na skałach wysokich; a czyż miłość ojczyzny po Bożej najpiękniejsza, nie może w nas Polakach obudzić tyle ognia, żebyśmy już nie stawianiem murów dla jej chwały, ale na ozdobę i zniesienie przynajmniej naszych sztandarów w to miejsce wolne, jedyne na całej kuli ziemskiej, zebrać się mogli.

Nie godzi mi się wątpić o tem ani na chwilę, los muzeów naszych i bibliotek dość wymownie świadczy o potrzebie tego schronienia, otwarte zaś wymaga od artystów polskich, synów tego narodu, przyozdobienia, jako dowodu poszanowania tych relikwji.

Pamiątki nasze narodowe gdzież są i w jakiem miejscu bezpiecznem, gdzieby wystawione nie były na zelżywość wrogów, gdzie mogą być otoczone poszanowaniem, jako znaki niegdyś sławnego narodu. Synowie bohaterów kędyż je podziwiać mają, czy się zwrócą do Berlina, tam w Szarlotenburgu znajdują się uniformy całego niegdyś polskiego wojska — czy do Drezna, tam im pokażą pamiątki narodowe przywłaszczone przez książąt obcych — w Paryżu szablę Sobieskiego, po szwedzkich zamkach ujrzą obrazy, zbroje porabowane w Polsce i księgi wielkich naszych pisarzy, — we Florencji w villi moskiewskiej — berło ze słoniowej kości, które piastował August III, w Kremlinie znajdą korony polskie, i konstytucję w szkatule wywróconej butem Mikołaja, oraz dowiedzą się, jak czczony jest przez Moskali czyn ów heroiczny petersburskiego władzcy, kopniecie nogą — i jak przypowieść o głupim zwierzu i lwie konającym znalazła swoją w Moskwie rzeczywistość.

Porozrzucane po całym świecie pamiątki nasze, jeśliż się kiedy jak źdźbła słomy do elektronu, do stolicy narodowej ściągną, trudno wiedzieć; oby przynajmniej to, co jeszcze w naszym się ręku znajduje, nie przepadło. Katedrę krakowską, zbiory archeologiczne **czeka los Warszawy, Wilna i Częstochowy**, upieramy się przy utrzymaniu na miejscu pamiątek, pókąd barbarzyniec nie przyjdzie, nie pozdziera obrazów, na wiatr nie porozrzuca kości i z relikwji świętych nie naśmieje się bluźnierca. — Przeciw powszechnej woli trudno nam walczyć, niechże więc przynajmniej to, co my zbierzemy, jako nasza własność zostanie ku pożytkowi następców uczczone i oprawione w rzeźby i malowidła, jak oprawiają w złoto dyamenty korony.

Około pamiątek narodowych po Czarnieckich, Kościuszkach, Mickiewiczach, — około obrazów z kościołów porozwalanych przez wrogów, a tu skrzętnie zgromadzonych, zakrąży dobrem sercem rozgrzana artystyczna wyobraźnia i pokryją się, mamy nadzieje, mury freskowe i malowidłami, starą Polską przypominającemi; — znajdzie się wędrowny Stachowicz który zwyczaje i obyczaje narodowe — zwycięstwa i portrety mężów zasłużonych potomnym zostawi, a każdy za najmniejszy dar wynagrodzony będzie myślą, że jego utwór, jego dziecię duchowe w tym się przybytku znajdzie, jako ochotnik posłany na służbę ojczystą z tą pewnością, że nie zaginie i przez wieki, kiedy kości ojcowe spruchnieją — zdrowo i pięknie wyglądać tam będzie.

... Moskwa zabrania nam używania ojczystego języka, żadne słowo gorętsze w kraju wymówione być nie może, o zbrojnem powstaniu nie dziś nam mówić; żeby więc się porozumieć, że wezwanie boskie miłości ojczyzny w nas nie zagasło, jakiż nam środek pozostaje? — oto posługiwać się sposobami pierwszych chrześcian — mową katakomb, której ślady do dziś dnia w rzymskich pozostały podziemiach, znakami, jakich dostarcza natchnienie święte sztukmistrzów, Każde oko polskie stało się żywą łzawicą — krwią na pro Christum pęcznieje ziemia, istne miljonowego ludu katakomby, a na utwierdzenie się w wierze język milczący, sztuka polska, ogarnia kości, ściągnie w jedno miejsce szczątki zbrój, pamiątek starej sławy, — uroczysta i aż do świętości podniesiona archeogia.

Wolni, powiada Byron, nie dbają, chociaż czasu fala dawne grobowce i pomniki zwala — większe pomniki zostały przed niemi, zostały ich góry ojczyste. Piękne to i prawdziwe na Kaukazie, w Turcji i u dzikich Indjan, ale wolni Polacy, którzy nie dbają o zabytki przeszłości, których oko nie szuka starych ojcowskich grodów i grobów, nie wiedzą za co walczą. — Nie zawsze i nie wszędzie piękne słowa poetów znajdują analogię, inaczej jednym frazesem możnaby zabić naukę i zniechęcić do pracy, z której jednej wielkie i niepożyte składają się dzieła.

Potrzebne wszystko w czem zaświecić może iskra narodowego życia, a kto się odwraca od kropli rosy przeto, iż w niej całych niebios nie widzi, jakże jest głupim w obec

tego, który wiadomości nasze opasał granicami wzroku, a klucze państwa swojego ubogim w duchu powierzył.

Nie podnośmy się w pysze ani stawajmy na czele, ale postępujmy na wszystkich innych drogach udowodniając siłę nieśmiertelną naszego doświadczonego, a wciąż jeszcze doświadczanego narodu.

Takiemi ożywieni myślami, zwracamy się do was, artyści polscy, o przyozdobienie dziełami waszemi Muzeum Narodowego w Rapperswylu.

Uwagi Krytyczne
E. Calliera
nad
Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,
ułożoną i wydaną przez
Teodora Żychlińskiego.

VI.

Borkowscy herbu Łabędź.

Autor nasz wywodzi Borkowskich herbu Łabędź wprost od Piotra Dunina, zmarłego w r. 1153, starosty Wrocławskiego, Kaliskiego i Kruświckiego, który, wystawiwszy w Polsce 77 kościołów z ciosowego kamienia, pozostawił tak liczne potomstwo, że, jak mówi Niesiecki, prawie tyle familji Duninów w Polsce naszéj od niego idących liczymy, ile on przybytków Boskich postawił, co niektórzy rozumieją, że mu obiecała była Najświętsza Panna.

Z takim wywodem genealogicznym spotykam się po raz pierwszy w Złotéj Księdze. —

Jeden z antenatów Borkowskich, imieniem Paweł, był dziedzicem Borkowic, Polutowa, Łabędzia, Sulgostowa i tam daléj, — twierdzi p. Żychliński. Że pana takich włości, położonych nie na krańcach, lecz w samem prawie sercu kraju, wraz z rodziną jego, t. j. Borkowskich herbu Łabędź, całkiem pominęli w herbarzach swych Paprocki i Okolski, stać się chyba nie mogło bez przyczyny, któréj autor nie tylko że nie wyświeca, ale nie stara się nawet zbadać, a choćby wreszcie tylko potrącić.

W herbarzach naszych występują po raz pierwszy Borkowscy herbu Łabędź u Niesieckiego; wspomniał lub pisał może o nich poprzednio Stefan Poniatowski w panegiryku swoim „Morze Łabędzia.“

Niesiecki pisze ich z Borkowic i zwie Duninami, ale słówkiem nie napomyka, że od Piotra Dunina pochodzą.

Stupnicki zwie ich, w nagłówku odnośnego artykułu po prostu Borkowskimi herbu Łabędź, a „Dunina“ wspomina tylko przy hr. Józefie Borkowskim.

Przewodnik heraldyczny Kosińskiego uważa „Dunina“ za przydomek, jakiego używają Borkowscy.

Encyklopedja Powszechna uważa Borkowice za wieś dziedziczną Duninów ze Skrzynna, którzy od niej przezwali się Duninami Borkowskimi i posiadali ją aż do końca zeszłego wieku.

Ztąd wynika prawdopodobieństwo, że Borkowscy stoją w pewnym związku koligacji z Duninami; dowodów na to nie dostarcza p. Żychliński, a powołanie się na *Liber Beneficiorum* Długosza, który właściciela Borkowic zwie Borkowskim, niczego jeszcze nie dowodzi; Borkowskimi bowiem zwano n. p. Bnińskich od Borka, Borkowskich herbu Junosza od Borkowa i t. d. —

Przyjmując za pewnik, że Borkowscy herbu Łabędź pochodzą wprost od Piotra Dunina, układa autor następujące drzewo genealogiczne:

Piotr I Dunin, r. 1153.
Piotr II, 1190 r.
Otton, — ?
Piotr III, 1240 r.
Piotr IV, 1271 r.
Mikołaj, 1309 r.
Mieczysław, 1354 r.
Bartłomiej, ?
Paweł, — ?
Adam, 1547 r.
Jan, 1560 r.
Adam, r. 1570. — Andrzej, r. 1569. — Stanisław, r. 1578.

W zestawieniu tem uderzają daty: r. 1354 i 1547; odstęp tych blisko dwustu lat zapełniają Bartłomiej i syn jego Paweł; do odrodzenia się nie potrzeba przecież takiego wiekowego przeciągu czasu.

Skromniejszy lub oględniejszy Niesiecki rozpoczyna rodowód Borkowskich od Andrzeja, pisarza ziemskiego Lubelskiego w r. 1569, o którym powtórzywszy p. Żychliński, co o nim wiedział wspomniany właśnie heraldyk, dodaje od siebie, że Andrzéj ten „zostawił liczne potomstwo.“

Autor nasz uważa Mieczysława (1354) za „protoplastę,“ a Jana (1560) za „właściwego protoplastę wszystkich Duninów Borkowskich i stale tak się piszących.“ Nie wiem, jak rozróżnia właściwego od niewłaściwego protoplasty, i wiedzieć téż nie pragnę.

Natomiast przystępuję do niektórych wybitniejszych postaci domu tego.

O Innocentym Borkowskim mówi nam autor, że w r. 1596 otrzymał biskupstwo Czerniechowskie i Otterskie, lecz że tylko pół roku godność tę piastował, zszedłszy nagle ze świata z zadanéj, jak utrzymywano, przez dyzunitów trucizny, rozgniewanych, że chciał przejść na Unię.

Z Encyklopedyji Powszechnej mógł p. Żychliński był wyczytać, że postać tego biskupa, którego nazwiska Julian Bartoszewicz znaleść nie mógł w aktach synodu Brzeskiego, jest bardzo podejrzaną i że pytanie, czy rzeczywiście był jaki biskup Borkowski w Czernichowie. Nadto byłby mógł autor się dowiedzieć o innych jeszcze wersjach, jakie po dziś dzień krążą wśród tamtejszego ludu.

O Piotrze Borkowskim, chorążym Sandomirskim, twierdzi p. Żychliński, że „pod Białym Kamieniem pierwszy z swoją rotą przełamał hufce Szwedzkie, bitwę pod Kirchholmem rozstrzygnął śmiałem uderzeniem na dragonią nieprzyjacielską. Zwycięztwo pod Kluszynem 1610 r. w znacznej części jego było dziełem; w obronie oblężonéj Moskwy 1611 r. dawał dowody niepospolitej roztropności, Znajomości sztuki wojennéj i męztwa.“

Nazwisko tego, który takich dokonał czynów, przejść powinno było do potomności, która, niewdzięczna, — jeżeli p. Żychliński prawdę mówi, o Piotrze Borkowskim całkiem zapomniała. Nie wie nic o tych czynach Niesiecki; Okolski wcale nie zna Borkowskich herbu Łabędź; nie zamieścił go w poczcie wojowników Starowolski; nie wykazują go Encyklopedja Powszechna i Tomasz Święcki; nie znają go wcale Stupnicki i Siarczyński Franciszek, który szczegółowo opracował panowanie Zygmunta III, zwłaszcza pod względem osób które się były odznaczyły.

Nie będę rozbierał wszystkich po szczególe czynów, jakie p. Żychliński przypisuje temu Borkowskiemu; uważając atoli bitwę pod Kirchholmem za jedną z najszczytniejszych ozdób oręża polskiego, zestawię tu odnośne zdania kilku autorów, których właśnie mam pod ręką.

„Dano z dział ognia, pisze Piasecki, nie wspominając o Borkowskim, — i pułk hetmański pod przywództwem Wincentego Wojny wpadł pierwszy na piechotę Szwedzką, długiemi kopiami i muszkietami od czoła nasrożoną, cokolwiek natarczywem uderzeniem zmieszana. Toż Tomasz Dąbrowa z pułkiem swoim poskoczywszy w odkryty bok prawego skrzydła nieprzyjacielskiego, za posłużeniem powiewającego od morza wiatru, który piaskiem i dymem oczy nieprzyjacielowi zamącił, silnym uniesiony pędem łamał i znosił rajtary Szwedzkie. Jazdę zaś lewego skrzydła nieprzyjacielskiego, któréj Suderman rozkazał był z tyłu zachodzić, wsparł potężnie Jan Sapieha, z polecenia Chodkiewicza pilne oko na nią mający i za uciekającą puściwszy się w pogoń, zapędził się aż w dalsze nieprzyjaciół szeregi. Wrzała wszędzie uporczywa bitwa; Szwedzi liczbą przewyższający przez trzy godziny wątpliwą utrzymywali walkę, ale gdy zmieszanych szyków przywrócić do porządku nie mogli, a pod szablą polską coraz większym wikłali się nieładem, nakoniec poczęli upadać na siłach i zwycięztwo przechyliło się na stronę Polaków.“

„Zatem pan Wincenty Wojna, porucznik hetmanów z 300 koni potkał się, donoszą współczesne Nowiny z Inflant, zamieszczone w Siarczyńskiego Obrazie wieku panowania Zygmunta III, — puściwszy ludzi księcia Kurlandzkiego w posiłek; sam książe przy hetmanie tam i sam, gdzie potrzeba, narażając się wspólnie, broń i ręce swe krwią nieprzyjaciół sfarbowali. Napadli na spisniki i przełamali

nieprzyjaciela, nie bez szkody swej. Pan Dąbrowa za rozkazem hetmana z lewego rogu uszedłszy, z boku wojsko nieprzyjaciela z pułkiem owym przegnał. Ten zaś huf miąższy rajtarów, który po lewéj ręce stał Karolusa, jako to więc bywa w kurzawie, nie mogąc dojrzeć, komu się do zwycięztwa nachyla, rozumiejąc o swych dobrze, ku Dźwinie się puścił, chcąc zachodzić naszym w tył, którzy w bitwie byli, przyszli na pułk pana Sapiehy; a tu już nieprzyjaciel sromotnie uchodzić począł.“

„Znając Hetman, mowi Niemcewicz w Dziejach panowania Zygmunta III, — jak wiele od pierwszego natarcia zależy, kazał uderzyć we wszystkie trąby i kotły, i hufiec Wincentego Wojny pchnął w łamanie czoła wojska Szwedzkiego;.... za nadbiegnięciem Kurlandczyków nadwerężone już szyki (nieprzyjacielskie) łamać się zaczęły..... Tomasz Dąbrowa korzystając z powstającego od morza wiatru, dym i piasek miotającego w nieprzyjaciół oczy, znosił rajtarów Mansfelda.... Uporczywiej szła walka, gdzie Jan Piotr Sapieha przeciw Brantowi potykał się; po dwakroć nieprzyjaciel poprawiał się i z zażarciem wracał do boju..... Przybywają w tem na pomoc z chorągwiami swemi Wilamowski, Giedrojć, Borkowski, Lacki i ostatecznie Szwedów spędzają.“

„Pierwszy Wincenty Wojna za rozkazem hetmańskim skoczył z trzemasty husarji na piechotę czołową, pisze Naruszewicz w Żywocie Chodkiewicza. — Nadbiegły wkrótce za husarją Kurlandzkie roty i potężnie pomieszanego już nieco nieprzyjaciela wsparły.... Tomasz Dąbrowa.... znosił owe rajtary pod Mansfeldem na prawem skrzydle stojące.... Brandt trafił na pułk Sapiehy. Wsparł go potężnie Sapieha ze swoją chorągwią, a puszczeni w posiłkach Wilamowski z Giedrojcem i Borkowskim ze świeżemi rotami większą jeszcze uczynili klęskę. Wszelako nieprzyjaciel, uporczywszy na tem skrzydle, dwa razy się poprawował tak dalece, że Chodkiewicz musiał wysłać Lackiego z ludźmi, za którego przybyciem poczęło się zwycięztwo nakłaniać na naszą stronę.“

Wynika ztąd, że nie Piotr Borkowski, jak tego chce p Żychliński, lecz Teodor Lacki, pisarz polny Litewski, „bitwę pod Kirchholmem rozstrzygnął śmiałem uderzeniem na dragonią nieprzyjacielską.“

I zgodnie z Naruszewiczem przypisuje Siarczyński rozstrzygnięcie bitwy téj Lackiemu. „W bitwie pod Kirchholmem r. 1605 na odwodzie postawiony, mówi o nim tenże Siarczyński, w zapale najtęższej walki wpadł Lacki se swym ludem, *osłabionych* naszych długim bojem pokrzepił i zwycięztwo przeważył.“

Z przywiedzionych powyżej ustępów wynika nadto, że w bitwie pod Kirchholmem, pomijając Chodkiewicza hetmana, odznaczyli się przedewszystkiem Wincenty Wojna, książe Kuroński, Tomasz Dąbrowa, Jan Piotr Sapieha i Lacki Teodor; drugorzędne zaś miejsce zajmują Wilamowski, Giedrojć i Borkowski.

Zestawieniem tych szczegółów nie chcę bynajmniéj ubliżyć chorążemu Sandomirskiemu; mógł i on był współzawodniczyć z pierwszorzędnymi tegoż dnia bohaterami, ale na to potrzeba świadectw poważnych. I nie wątpię, że z dokumentów i źródeł współczesnych możnaby osnuć ciekawy żywot jego, nie uciekając się do hyperbol, jakiemi autor Złotej Księgi się posługuje. W Złotéj Księdze wszystko wytrzymać powinno próbę złota. —

Pod rokiem 1608 wspomina Piasecki, że Piotr Borkowski wysłany był od zatrzymanych w Moskwie posłów polskich do obozu Mniszcha, wojewody Sandomierskiego, celem ułożenia się względem ich wyswobodzenia. Piotra tego mieni Encyklopedja Powszechna chorążym Bełzkim, który około r. 1628 miał zastać kasztelanem Lubaczewskim.

Piotr, syn Piotra, bohatera z pod Kirchholma chorąży Bełzki, został kasztelanem Lubaczewskim w r. 1641 podług p. Żychlińskiego. Różność dat tych naprowadza mnie na przypuszczenie, czy tu czasem nie zachodzi pomięszanie ojca z synem tegoż samego imienia. Jeżeli data 1641 r. podana przez naszego autora jest prawdziwą, przypuścićby można, że ów poseł do obozu Mniszcha był Piotrem ojcem, chorążym Sandomierskim; w każdym razie wypadało wspomnieć w Złotej Księdze o poselstwie i wkradającą się tu wątpliwość wyświecić. —

Stanisław Borkowski, łowczy Sandomierski i następnie stolnik Lubelski, został kasztelanem Połanieckim w r. 1670, a nie r. 1640, jak mylnie podaje p. Żychliński. —

O potwierdzeniu Jerzego hrabią przez Augusta III w r. 1738 nic nie wie Przewodnik Heraldyczny Kosińskiego, ani Bibliografia Estrejchera o dziełach dramatycznych Witołda Borkowskiego, o których autor wspomina.

Pominął p. Żychliński następujących Borkowskich, których za Krasickim i Wielądkiem do herbu Łabędź liczy Bobrowicz, dopełniacz Niesieckiego:

Seweryna, w województwie Wołyńskiem, — Ludwika komornika Żytomierskiego, — Jacka, który się pisał na elekcję Stanisława Augusta, Ludwika, komornika Włodzimirskiego i - Józefa, susceptanta Krzemienieckiego.

Jeżeli ci Borkowscy nie używają ani herbu Łabędź, ani przydomku Dunin, był p. Żychliński powinien sprostować tych autorów, którzy ich policzają do rodziny Dunin — Borkowskich. Uczynił to wprawdzie poniekąd Bobrowicz w tomie dodatkowym, ale nie wyczerpująco. Natomiast uznania godnem jest wydobycie z niepamięci następujących osobistości, których ani Niesiecki, ani dopełniacze jego pominąć nie byli powinni.

Adama, uzurpatora probostwa swej wsi dziedzicznéj, 1570 r.
Andrzeja, pułkownika, r. 1691.
Bazylego, pułkownika Czechryńskiego, r. 1674.
Jana, fundatora kaplicy św. Jana w Kaźmierzu, r. 1560.
Jana, cześnika Latyczowskiego, r. 1673.
Jana, starosty Radelnickiego, r. 1752.
Jana, podskarbiego Królewskiego.
Józefa, stolnika Mścisławskiego
Kaspra, pułkownika, r. 1632.
Stanisława, posła i deputata.

Uznając starania p. Żychlińskiego w téj mierze, pragnęlibyśmy przecież, ażeby w następujących Rocznikach podawał źródła, z których czerpie, zwłaszcza jeżeli źródła takie nie są przystępne szerszej publiczności. W dzisiejszym wieku niewiary i pozytywizmu, niech się nie dziwi że się znajdą tacy, którzy mu na gołe słowo wierzyć nie chcą i nie będą.

Dwa medale wybite na cześć Kopernika.

Kopernik jest bez wątpienia najsławniejszym i najwięcéj znanym Polakiem po za obrębem swego kraju ojczystego. Wiedzą o nim tak dobrze w Europie, jak w Australii i Ameryce. Ztąd słuszna, aby mąż tak znakomity przedewszystkiem we własnéj ziemi był znany i ceniony. Zatem godzi się raz po raz przypominać jego pamięć ziomkom. Dla téj przyczyny podajemy dziś dwa medale, wybite na cześć Kopernika. Pierwszy z nich kazało wybić Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu 1873 r. na pamiątką czterechsetnich urodzin wielkiego Astronoma. Piękny i treściwy wiersz:

„Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię,
Polskie wydało go plemię“

jest wyjęty z Ody na cześć Kopernika przez Osińskiego. Medal ten rytował nasz rodak p. Below z Poznania.

Drugi medal wybity jest we Florencyi we Włoszech. Wogóle obecnie we Włoszech odżywia się wielce pamięć Kopernika. Włosi uznają go powszechnie za Polaka. Przyczynia się niemało do rozszerzania wiadomości o Koperniku Artur Wołyński, który chlubnie się odznaczył licznemi pracami o tym wielkim naszym Rodaku, a mianowicie zasłużył się wielce dla naszego Narodu założeniem muzeum Kopernikowego, o czem później podamy bliższą wiadomość. Wypada, aby i Wielkopolska wzięła czynny udział i dopomogła do jak największego wzrostu tego Muzeum.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.